Paulina
KUZAWIŃSKA

DAMA
Z WAHADEŁKIEM

Granice pomiędzy miłością i zbrodnią zaczynają zacierać się we mgle...

LIRA
WYDAWNICTWO

DAMA
Z WAHADEŁKIEM

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2019
ISBN: 978-83-66229-55-6

Paulina
KUZAWIŃSKA

DAMA
Z WAHADEŁKIEM

LIRA
WYDAWNICTWO

Dla moich Najbliższych

Prolog

Zwłoki leżały w wodzie, twarzą w dół — na powierzchni falowały ciemne włosy, niczym kępki dziwnych wodorostów. Zabity człowiek miał szeroko rozrzucone ręce i nogi. Kredowoblade, niemal sine dłonie zdawały się opuchnięte, rozdęte od wody, niczym jasne brzuchy martwych ryb. Mężczyzna — jego płeć poznałam po ubraniu — musiał nie żyć od dłuższego czasu. Przemykający po skałach krab, którego widocznie spłoszyłam, przywrócił mnie do rzeczywistości.

Obrzydliwy odór śmierci trącał moje nozdrza i kazał skręcać się wszystkim wnętrznościom — podziałał na mnie mocniej niż sole trzeźwiące. Odwróciłam się i zwymiotowałam.

Dopiero wtedy mój mózg zaczął pracować gorączkowo niczym kocioł pędzącej lokomotywy.

1. Powrót na wrzosowiska

Kiedy lokomotywa wtoczyła się na stację kolejową w Torquay, siedziałam w przedziale z twarzą niemalże przyklejoną do szyby. Ku mojemu rozczarowaniu nadmorskie miasteczko tonęło spowite w gęstych mgłach — jak gdyby to buchająca z sykiem para, która wprawiała w ruch pociąg przez całą drogę z Londynu aż na północ Półwyspu Kornwalijskiego, zawisła teraz między dachami domów. Torquay pojawiło się, a potem prędko znikło, niczym siedlisko ludzkie ukryte w chmurach. Bryczka, którą ciotka Hortense wysłała po mnie na stację kolejową, podskakiwała na wybojach od chwili, gdy opuściliśmy ostatnią zabudowaną uliczkę.

Na przekór trwającemu latu musiałam ciasno otulić się peleryną, żeby wśród białych oparów nie zacząć dygotać z zimna. Pomyślałam, że nazwa posiadłości, w której miałam spędzić najbliższe tygodnie, idealnie pasuje do obecnej aury — Wzgórze Mgieł. Dom mojej ciotki znajdował się kilkanaście mil od Torquay w hrabstwie Devon, pośród bezkresnych, dzikich wrzosowisk Exmoor. Górował nad okolicą złożoną z kopulastych wzgórz i rozsianych między nimi zagajników.

Wrzosowiska opadały wprost do oceanu stromymi, białymi jak kość klifami, o które nieustannie biły kapryśne fale. Podobno nazwa „Torquay" wzięła się od zmienności koloru tutejszych wód. Zazwyczaj morze wydawało się szare, lecz w niektóre, jasne i słoneczne dni stawało się turkusowe…

Rozglądałam się teraz z powozu po surowym krajobrazie, który przypominał mi dzieciństwo. Miałam wrażenie, że dobiegło ono końca zaledwie przed chwilą. Spędziłam we Wzgórzu Mgieł niejedne wakacje w czasie, kiedy moje serce było wolne od obecnych trosk, a dorośli z większą niż dziś pobłażliwością spoglądali na ekscesy dziewczynki — a nie młodej damy.

Jednym z owych dorosłych z mojego dzieciństwa był siedzący teraz na koźle pan Smith. Niegdyś opiekował się ogrodem mej ciotki — już wówczas był wiekowym mężczyzną. Przez te lata bardzo mocno się postarzał. Było mi smutno, bo za wyjątkiem powitania nie odezwał się do mnie dotąd ani słowem. Od czasu do czasu potrząsał lejcami i cicho pogwizdywał pod nosem — chyba w zamierzeniu jego gwizdy, przypominające wołanie smutnego ptaka, miały układać się w jakąś nuconą w myślach melodię. Próbowałam go zagadywać, ale bez skutku. Stary ogrodnik od rozmowy ze mną wolał swoje świergotliwe nucenie.

Droga zaczynała mi się dłużyć, a dookoła robiło się coraz ciemniej. Przez krótką chwilę pomyślałam z tęsknotą o Londynie. Zostawiłam za sobą wielkie miasto z jego gazowymi latarniami, które nocą rozsiewały zielonkawe światło, z jego podziemną kolejką i z setkami kołyszących się po ulicach wygodnych dorożek. Zamiast tego na jakiś czas miałam zamieszkać w odludnej wiejskiej siedzibie bez elektryczności ani żadnych nowoczesnych udogodnień. Pomyślałam z odrobiną przestrachu, że czeka mnie tam samotność i pustka. Przygryzłam usta.

Czyż nie tego pragnęłam? Czyż nie chciałam uciec od wszystkiego i od wszystkich?

Pochyliłam się lekko do przodu, żeby spróbować znowu zagadnąć pana Smitha, kiedy coś nagle przykuło moją uwagę. Pośród snujących się po wrzosowisku kłębów mgły ujrzałam jeźdźca. Pędził na grzbiecie ciemnego konia i zbliżał się ku nam z oszałamiającą prędkością. Dosiadający wierzchowca mężczyzna pochylał się nisko nad szyją zwierzęcia. Zdawało mi się, że pragnie nas dogonić. Moje serce zabiło szybciej, bo przestraszyłam się, że to jakiś posłaniec z posiadłości i że coś stało się mojej ukochanej ciotce Hortense. Już miałam kazać stangretowi zatrzymać powóz, kiedy jeździec osadził konia w miejscu. Wierzchowiec stanął dęba, bijąc powietrze przednimi kopytami. Wychyliłam się z powozu. Końskie kopyta z impetem uderzyły o ziemię, a ja ujrzałam twarz nieznajomego. Przeszyło mnie spojrzenie ciemnych oczu. Był młody, ciemnowłosy… Na jego twarzy malował się jakiś przejmujący smutek. Poczułam nagły, szaleńczy łomot własnego serca. W następnej chwili skłębione opary przesłoniły męską sylwetkę. Jeździec pogalopował w gęstą mgłę. Tętent kopyt poniósł się w niej stłumionym, miękkim echem.

Zaczął siąpić drobny deszcz — półotwarty powóz nie chronił przed nim zbyt dobrze. Poczułam osiadającą na twarzy i włosach wilgoć i naciągnęłam głębiej pelerynę. Na szczęście zza zakrętu drogi wyłaniały się rozmazane jeszcze nieco światła Wzgórza Mgieł.

* *

— Madeline! Jak cudownie, że jesteś! — Moja ciotka, lady Hortense Lancey, powitała mnie w przestronnym holu

wychodzącym na rzęsiście oświetlony salon, z którego na piętro prowadziły dwie pary wygiętych w miękkie łuki, starych dębowych schodów. Razem z jej okrzykiem radości dobiegł mnie znany zapach pasty do czyszczenia podłóg, woń suszonej lawendy i aromat mocnej herbaty w filiżankach w słonie, podarowanych ciotce przez świętej pamięci wuja Rogera na pamiątkę ich podróży do Indii. Uścisnęłam serdecznie staruszkę, której szczupła postać skurczyła się od mojej ostatniej wizyty. Poczułam ogarniające mnie wzruszenie i radość, że znowu mogę gościć w jej domu. Jego zapach, jego grube kamienne ściany, obrazy i pociemniałe drewniane boazerie budziły najpiękniejsze wspomnienia.

— Biedactwo! Jesteś cała przemoczona! Rosalind, bądź tak dobra i przygotuj gorącą kąpiel dla panienki Madeline! To przywróci ci siły po podróży, moje dziecko.

Wpadłam w ramiona Rosalind — energicznej, starszej wiekiem kucharki, która niegdyś była dla mnie jak babka. Dopiero kiedy po dłuższej chwili się z nich oswobodziłam, usłyszałam z salonu męski głos.

— Gdyby mnie uprzedzono, że tak śliczna panna przyjeżdża dzisiejszym pociągiem do Torquay, sam odebrałbym panią ze stacji automobilem.

Pan Smith właśnie wniósł moje bagaże, zaś do holu wszedł młody mężczyzna w surducie, o gęstych miodowozłotych włosach i intensywnie niebieskich oczach. Prowadził pod rękę starszą pulchną damę o ustach mocno zaznaczonych czerwoną szminką.

— Madeline, to moja droga przyjaciółka Flora Jones. Na pewno ją pamiętasz. W końcu jesteśmy z Florą niemalże jak siostry, przyjaźnimy się od dziecka. A ten przystojny młodzieniec to jej siostrzeniec, Clark Cagwar.

Wysoki blondyn ujął mą dłoń i szarmancko ucałował akurat to miejsce, na którym jeszcze do niedawna nosiłam pierścionek…

— Flora dopiero co wróciła z rocznej podróży do Ameryki i przywiozła do Torquay mnóstwo nowin — szczebiotała radośnie ciocia Hortense. — Pewnie w Londynie słyszałaś już o wirujących stolikach? W Ameryce Flora odkryła w sobie niezwykłe zdolności. Jestem taka podekscytowana! Tylu gości naraz! — Ciotka klasnęła w ręce. — Jutro planujemy urządzić seans!

— Jaki seans? — spytałam pospiesznie, zarazem onieśmielona niebieskimi oczami Clarka i zdezorientowana potokiem słów wypływającym z ust ciotki.

— Seans spirytystyczny, oczywiście! Flora odkryła w sobie cechy najprawdziwszego medium! Rozmawia z duchami! Już kilka znaczniejszych rodzin w okolicach Torquay skorzystało z jej daru, żeby móc poczuć obecność zmarłych bliskich! — Ciocia ujęła mnie pod ramię i poprowadziła do salonu.

Podczas gdy Hortense mówiła nieprzerwanie, uświadomiłam sobie, że słyszałam już o „wirujących stolikach". Owo określenie narodziło się za oceanem i przeniosło się do Anglii tak jak i szerząca się w Londynie moda na towarzyskie spotkania, w trakcie których próbowano wejść w kontakt z duchami. W pewnej gazecie pisano nawet, że komuś udało się przywołać zjawę jednej z sióstr Fox, które przed laty zapoczątkowały w Stanach obecną modę na seanse spirytystyczne.

Na myśl o udziale w podobnym wieczorze poczułam lekki dreszczyk ekscytacji. Może tego właśnie było mi trzeba? Chwilowego oderwania się od rzeczywistości…

Upiłam łyk herbaty z niejasną myślą, że w Londynie zaczynałam się już dusić. Odkąd pamiętałam, ojciec wychowywał

mnie pod kloszem i bardzo po staroświecku — jeszcze do niedawna nieodzowną towarzyszką mych dni była francuska guwernantka. Odetchnęłam głęboko pełną piersią — jakbym wciągała w płuca upragnioną wolność — taką, jaką obdarzano mnie tu w dzieciństwie. W domu ciotki Hortense zawsze czułam się swobodnie i inaczej…

Dwie starsze panie rozsiadły się na kanapie, a ja i Clark Cagwar przysłuchiwaliśmy się ich paplaninie.

— Pani ciotka to urocza osoba — odezwał się mężczyzna.

Na moją twarz wypłynął lekki uśmiech.

— To prawda. Myślę, że można powiedzieć to również o pańskiej ciotce. Chociaż muszę wyznać, że to, co razem planują, wydaje mi się trochę niesamowite. Czy myśli pan…

— Proszę mi mówić Clark.

Skinęłam głową na tę propozycję, odrobinę speszona.

— Madeline.

— Przerwałem ci, to było niegrzeczne z mojej strony. O co zatem chciałaś spytać, Madeline?

— Czy pani Flora… ukhm… jest przekonana do tego, co robi?

Clark uśmiechnął się ciepło, nachylił się ku mnie i rzucił konfidencjonalnym szeptem:

— Dziwactwa starszych pań! Mają do nich prawo, czyż nie? Kto wie, jacy my będziemy w ich wieku?

Uśmiechnęłam się na tę uwagę, ale nadal miałam wątpliwości. Clark to zauważył.

— Czyżbyś wierzyła w duchy, Madeline?

— Sama nie wiem, czy w nie wierzę. Ale jest tyle spraw, których nauka do tej pory nie potrafi wyjaśnić…

— Zatem przyjdziesz na seans z otwartym umysłem. To bardzo dobrze. Przyda się ktoś taki.

— Ty też tam będziesz?

Przytaknął.

— Chcę sprawić przyjemność ciotce Florze. Poza tym lubię obserwować typy najrozmaitszych ludzkich postaw i zachowań, a tego rodzaju wydarzenie wiele mówi o psychicznym życiu uczestników.

Ostatnie słowa Clarka sprawiły, że drgnęłam.

— Czyżbyś interesował się pracami Zygmunta Freuda? — spytałam bez zastanowienia.

Oczy mu błysnęły i spojrzał na mnie z szacunkiem.

— Owszem, ale nie poznałem jeszcze damy, którą by zajmowały jego poglądy na ludzką naturę.

— Czytałam jedynie jego *Objaśnianie marzeń sennych* — odrzekłam cicho i poczułam, że się rumienię.

Nie chciałam dodawać, że zainteresowałam się Freudem i jego kontrowersyjną teorią psychoanalizy głównie z powodu dręczących mnie koszmarów, które zaczęły się pewnego lata w dzieciństwie właśnie tutaj, niedaleko posiadłości Wzgórze Mgieł.

Zamilkłam, co Clark niewątpliwie wziął za oznakę kobiecej skromności.

— Wybacz, nie chciałem cię speszyć. Zdajesz mi się niezwykle ciekawą osóbką, Madeline. Cieszę się, że będziemy widywać się tego lata.

— Więc spędzasz wakacje u twojej ciotki Flory?

— Nie — spoważniał. — Moja rodzina pochodzi z okolicy. Po śmierci ojca postanowiłem zamieszkać na jakiś czas w posiadłości moich rodziców. Prawdę mówiąc, zamierzam sprzedać dom po ojcu, ale na razie muszę uporządkować sprawy majątku… W tym roku ukończyłem studia prawnicze. Przyda mi się chwila przerwy, zanim rozpocznę pracę w zawodzie w Londynie.

Upiłam kolejny łyk herbaty. W salonie było przyjemnie ciepło, w kandelabrach na komodzie płonęły świece. Wreszcie poczułam, że mogę się odprężyć. Choć bardzo odpowiadało mi towarzystwo Clarka, ucieszyłam się, kiedy niebawem on i pani Flora się pożegnali. Za wysokimi oknami starego domostwa zakasłał silnik tajemniczego automobilu, a ja mogłam z rozkoszą zanurzyć się w wypełnionej parującą wodą wannie na mosiężnych lwich łapach. Dopiero wówczas poczułam, jak odpływa ze mnie zmęczenie podróżą. Pobyt w Torquay miał uleczyć moje złamane tej wiosny serce i po raz pierwszy od długich tygodni zasnęłam z ożywczą myślą, że to naprawdę może się udać.

* *

Kiedy rankiem zbudziłam się w świeżej pościeli w wielkim drewnianym łożu otulonym baldachimem, nad wrzosowiskami za oknem szemrał deszcz. Niebawem jednak kilka nieśmiałych promieni słońca zaczęło prześlizgiwać się po ścianach mojego pokoju pokrytych tapetą w bladoróżowe kwiaty. Do sypialni przylegała łazienka — po umyciu się włożyłam suknię i usiadłam przed toaletką z wielkim lustrem, żeby upiąć włosy. W Londynie najczęściej pomagała mi w tym pokojówka, ale tutaj, na wsi, wolałam nosić zarówno mniej wyszukany strój, jak i prostszą fryzurę, które zawsze bardziej mi odpowiadały. Rozplątałam spleciony na noc warkocz i przyjrzałam się krytycznie swojemu odbiciu. Rozczarowanie i ból złamanego serca pozostawiły ślad na mojej twarzy. Byłam bledsza i chudsza niż jeszcze dwa miesiące temu, a pod oczami miałam lekkie cienie. Mimo to pomyślałam z nadzieją, której źródła nie potrafiłabym wskazać, że choć nigdy nie olśniewałam urodą, to w mojej twarzy nadal

tkwiło coś interesującego. Za jej największą ozdobę uważałam oczy o orzechowym odcieniu, odziedziczone podobno po babce, lady Greenwood, której nie dane mi było poznać. To po niej dostałam również drobny, lekko zadarty nos i łagodną linię podbródka. Moje niesforne, lekko falujące ciemne włosy, latem rozjaśnione przez słoneczne refleksy, niestety potęgowały wrażenie bladości, która od zawsze była moją największą bolączką.

Zeszłam po schodach do niewielkiej, przytulnej jadalni, z której ciotka Hortense korzystała od śmierci wuja Rogera. Napływał stamtąd aromat świeżo zmielonej kawy, smażonych jajek, grzanek i konfitury. Rosalind właśnie nalewała kawy do dzbanka.

— Dzień dobry — przywitałam się z uśmiechem.

— Dzień dobry, panienko Madeline.

— Czy mogę w czymś pomóc?

— Dziękuję, nie trzeba.

— Ciocia już wstała?

— Skoro świt. Kończy wypisywać bileciki z zaproszeniami na seans z duchami, który ona i pani Flora zamierzają zorganizować dziś wieczór. — Zawahałam się. — To nie moja sprawa, ale czy to aby na pewno nie grzech? Jak panienka sądzi? Artur ma doręczyć zaproszenia po śniadaniu…

W tym momencie zjawiła się ciocia. Była podekscytowana i radosna, jak gdyby wróciły jej zdrowie i siły, na których brak narzekała w ostatnich listach. Pomyślałam, że tak podziałał na nią powrót do Torquay jej starej przyjaciółki, pani Flory, a także, jak sądziłam, mój przyjazd. Uśmiechnęłam się. Poczułam się lepiej na myśl, że choć okoliczności mojego przybycia do Wzgórza Mgieł były dla mnie bolesne, to jednak wniosłam mały promyczek radości w życie ciotki. Liczyłam na

to, że i na mnie on spłynie. Dobre emocje rozkwitają, kiedy się nimi dzielimy.

— Brakowało mi ciebie, Madeline! — wyznała Hortense. — Popatrz na siebie! Jeszcze wczoraj byłaś dzieckiem, a dziś jesteś prześliczną młodą kobietą! Wczoraj wieczorem siostrzeniec Flory nie mógł oderwać od ciebie oczu…

Nie byłam jeszcze gotowa na podobne rozmowy o mężczyznach. Ciotka wyczuła to chyba i gładko zmieniła temat.

— Tak się cieszę z powrotu Flory z Ameryki! To wspaniale, że po latach pogodziła się z siostrą.

— To znaczy z matką Clarka? — spytałam i upiłam spory łyk kawy z bladoniebieskiej porcelanowej filiżanki. Smakowała wybornie.

— Tak. Rodzina Clarka pochodzi z tych okolic, lecz jego matka, siostra Flory, opuściła ojca Clarka dla jakiegoś słynnego aktora. Nie pamiętam dziś już nawet jego nazwiska… Uciekła z nim do Ameryki. Flora nie utrzymywała z nią kontaktu, ale w końcu postanowiła to zmienić. Ojciec Clarka zachował się szlachetnie, zapisał wszystko synowi, a wiem, że i Flora chce uczynić z siostrzeńca swego jedynego spadkobiercę. Ludzie pragną naprawić relacje z najbliższymi, kiedy zbliża się starość, a razem z nią myśl o śmierci.

Skinęłam głową.

— Pani Flora nie tylko pogodziła się z rodziną siostry, ale także zainteresowała się spirytyzmem.

Po obliczu ciotki Hortense przemknął cień smutnego uśmiechu. Mimo upływu lat ta szczupła twarz zachowała jakąś ujmującą, wewnętrzną świeżość, a jej oczy — szlachetny kolor szmaragdów. Natychmiast przykuwały wzrok rozmówcy, odwracając go od siwizny i licznych zmarszczek. W młodości Hortense była piękna niczym wiosna; obecnie,

w jesieni życia, jej uroda zmieniła się, ale nie przeminęła. Starość u tej kobiety zdawała się być tylko zsuniętą na twarz woalką jednego z jej eleganckich kapeluszy.

— To prawda — westchnęła i odłożyła na brzeg spodka malutką srebrną łyżeczkę. —Wyznam ci w sekrecie, że Flora jest poważnie chora. Nie wie, ile czasu jej zostało. Możliwość spotkania bliskich zmarłych uśmierzyła chyba jej lęk przed śmiercią. Dzięki niej czuję teraz to samo. Ogarnia mnie spokój. Tak bardzo chciałabym znowu zobaczyć mojego drogiego Rogera!

Ostatnie zdanie wyrzekła niemal z rozmarzeniem.

Pierwszą połowę dnia spędziłam z ciocią. Koło południa starsza pani poczuła się zmęczona i postanowiła uciąć sobie drzemkę przed wydarzeniami tego wieczoru. Ja wybrałam się na spacer po wrzosowiskach. Po tym, co mnie spotkało w Londynie, łaknęłam samotności, a tej sprzyjały tutejsze puste krajobrazy.

Lekki wiatr szeleścił moją suknią i przyjemnie pieścił twarz, niosąc wspomnienia dni spędzonych tu w dzieciństwie. Błękitne niebo przecinały szare chmury, przypominające stada owiec przemierzających bezkresne łąki. Pogrążyłam się w zadumie i nawet nie spostrzegłam, kiedy wydeptana wśród wrzosów ścieżyna doprowadziła mnie nad ocean. Jego fale rozpryskiwały się u podstawy klifów, zwiastując nadchodzący przypływ. Patrzyłam na morze i w jednej chwili oczy zaszły mi łzami.

Moja miłość jest wieczna, Madeline. Jak ocean — usłyszałam w myślach słowa wypowiedziane pewnego wieczora w Londynie przez Edmunda. — *Ma swoje przypływy i odpływy, ale w głębi moje przywiązanie do ciebie jest niewzruszone i stałe.*

2. Świat we mgle

Edmundzie, dlaczego nie byłeś szczery? Dlaczego moje pierwsze prawdziwe uczucie okazało się kłamstwem?

Otarłam wierzchem dłoni pojedynczą łzę, która uczepiła się mego podbródka. Wiatr znad fal osuszył zostawiony przez nią ślad na policzku. Nie wiedzieć czemu pomyślałam o samotnym jeźdźcu, którego spotkałam wczoraj w czasie podróży przez wrzosowiska. Dlaczego zatrzymał konia tak blisko bryczki, po czym nawet się nie przedstawił? Pomyślałam z odrobiną gorzkiej ironii, że maniery mieszkańców tych odludnych okolic znacznie odbiegają od uprzejmości i towarzyskiej ogłady, do jakich przywykłam w Londynie. Z drugiej strony może w milczącej obojętności tkwiła przynajmniej szczerość. Tej ostatniej niestety brakowało licznym osobom należącym do londyńskiej socjety…

Obojętność… Tego właśnie dla siebie pragnęłam.

Zdobyć się na obojętność wobec plotek i palących jak policzek spojrzeń.

Westchnęłam cicho i spojrzałam w dół, na biały piasek pomiędzy skałami, które z wolna zalewała woda.

Serce mocno załomotało mi w piersi.

Znad oceanu zaczynała napływać mgła, lecz mimo to wyraźnie dostrzegłam sylwetkę mężczyzny na plaży.

Oddalał się ode mnie, był odwrócony plecami. Nie mógł mnie zobaczyć ani tym bardziej usłyszeć. Niemniej musiałam krzyknąć, gdyż przeszył mnie strach.

Nie o siebie.

O niego.

Czyżby nie wiedział, że właśnie zbliża się przypływ?!

Jeżeli natychmiast nie opuści plaży, ocean na zawsze uwięzi go pod tymi klifami!

— Proszę uciekać! — zawołałam z desperacją, próbując przekrzyczeć coraz mocniejsze fale i morski wiatr. — To bardzo niebezpieczne! Proszę uciekać! Hej! Hej!

Ostatni okrzyk zamarł mi na ustach. Nieznajomego przysłonił tuman białej mgły. Jednocześnie mocniejszy podmuch wiatru zaszeleścił moją suknią i uniósł nad ziemię lekkie muślinowe falbany. Odwróciłam się ku wrzosowiskom i serce zabiło mi jeszcze szybciej. Wiatr pędził coraz gęstsze tumany mgły — w parę chwil przykryły wrzosowisko grubą kurtyną.

Jeszcze chwila, a zostanę uwięziona na szczycie klifu niczym rozbitek pośrodku morza obłoków!

Zebrałam suknię i szybkim krokiem ruszyłam w kierunku domu ciotki Hortense. Na twarzy i włosach osiadała mi teraz wilgoć. Pospieszny marsz potęgował nieprzyjemne wrażenie, że suknia nasiąkła wodą i stała się ciężka. Piękny jasny materiał ciągnął mnie ku ziemi, krępował ruchy i plątał się wokół moich stóp.

Nie wiem, po jakim czasie zdałam sobie sprawę, że nie potrafię już odnaleźć ścieżyny, która przywiodła mnie nad ocean. Dookoła widziałam tylko biel. Samotne drzewa i oddalone

zagajniki zmieniły się w zawieszone w pustce bezkształtne cienie. Nawet granica pomiędzy ziemią a niebem się dla mnie zatarła…

Zrobiło się chłodno. Wraz z zimnem poczułam przejmujący, przenikający moje ciało strach. Zaczęłam iść coraz szybciej, potem biec. Próbowałam odnaleźć jakikolwiek szczegół krajobrazu, który wskazałby mi drogę do domu. Nagle w oddali dostrzegłam zbliżające się ku mnie rozmazane światło. Miałam wrażenie, że upłynęła cała wieczność, zanim usłyszałam stukot kopyt i turkotanie bryczki. Woźnica, który przypominał teraz plamę cienia, zeskoczył z kozła i uniósł wysoko przeszkloną latarenkę z migoczącym wewnątrz płomieniem. Byłam tak przerażona, że dopiero ów pradawny, zaklęty w tysiącleciach ludzkiej historii widok ujarzmionego ognia upewnił mnie, że mam do czynienia z żywym człowiekiem…

— Panienka Madeline? — usłyszałam zdziwiony męski głos.

Głos zmienił się, nabrał głębokich tonów, ale i tak rozpoznałam go natychmiast.

— Dzięki Bogu, że to ty! — szepnęłam i odetchnęłam z bezgraniczną ulgą.

To był Artur, syn starego ogrodnika ciotki, pana Smitha. Wracał z objazdu po paru okolicznych domach, gdzie rozwiózł zaproszenia na dzisiejszy seans spirytystyczny Flory Jones.

Młody mężczyzna pomógł mi wgramolić się do powozu i otulił moje ramiona pledem.

— Jest panienka całkiem zziębnięta!

Nie odpowiedziałam, a on po prostu machnął lejcami. Bryczka ruszyła z miłym dla ucha turkotem kół.

— Wybrałam się na spacer i zaszłam chyba za daleko. — Spróbowałam lekko się uśmiechnąć i odkryłam, że nawet

mięśnie twarzy mam całkiem stężałe od chłodu. Woźnica mógł zobaczyć tylko mój niewyraźny grymas.

W milczeniu dryfowaliśmy bryczką przez mgłę. Jako dzieci Artur i ja bawiliśmy się razem na tych wrzosowiskach. Prawdę mówiąc, byliśmy nierozłączni… Siedziałam obok niego na koźle i poczułam się bardzo dziwnie na myśl, że czasy, kiedy mówił mi po imieniu, dawno odeszły. Teraz byłam dla niego „panienką".

Gdzieś po głowie snuła mi się chęć zapytania, czemu to on nie przyjechał po mnie wczoraj na stację. Czy po tym, co przydarzyło się nam dwojgu w dzieciństwie, mój przyjazd wywoływał w nim przykre wspomnienia?

Walczyłam ze sobą chwilę, ale nie miałam dość śmiałości, żeby go o to spytać. Tymczasem najwyraźniej przez ostatnie lata Artur stał się takim samym milczkiem jak pan Smith. Nie wiem, dlaczego zaniepokoiło mnie to nagłe podobieństwo starego ojca i jego młodego syna. A może mój niepokój był po prostu wyrzutem sumienia, do którego nie chciałam się przed sobą przyznać?

Mimo upływu czasu nadal istniały sprawy, o których nie potrafiłam rozmawiać otwarcie.

— Powinna panienka bardziej uważać — zauważył w końcu Artur, przerywając długotrwałą ciszę, jaka między nami zapadła. — Tutejsze mgły bywają niezwykle zdradliwe. Jest panienka bardzo daleko od domu. Cóż za szczęście, że akurat przejeżdżałem i zauważyłem panienkę na drodze.

Nie mogłam uwierzyć, że nie wiedząc o tym, stałam pośrodku drogi. Gdyby Artur nie pojawił się właśnie w tej chwili, zapewne po prostu bym ją minęła i obecnie nadal błąkałabym się po wrzosowiskach. Mogłabym trafić na bagna albo, co gorsza, zgubić się i zawrócić nad krawędź klifów…

— Masz całkowitą rację. — Skinęłam głową. — Nie było mnie tutaj parę lat i najwyraźniej zapomniałam, dlaczego posiadłość ciotki Hortense nosi nazwę Wzgórze Mgieł.

— Najwyraźniej. — Artur uśmiechnął się szerzej. Nie mogłam nie zauważyć, jak bardzo wyprzystojniał od czasu, kiedy ostatni raz bawiliśmy się razem, jeszcze jako dzieci. — Na szczęście konie z oddali wyczuły człowieka. Zaczęły parskać na wiatr i się niepokoić. Dlatego domyśliłem się, że ktoś stoi na drodze. Gdyby zamiast powozu jechał tędy automobil pana Clarka, mogłoby dojść do wypadku… — mruknął woźnica i zawiesił głos.

Wyczułam, że albo nie przepada za Clarkiem Cagwarem, albo ma zastrzeżenia co do jego automobilu… Ten wynalazek ostatnich lat zyskiwał sobie pierwszych zwolenników w Londynie, lecz tutaj, na wsi, nie był jeszcze nazbyt częstym widokiem. A przy tym „mechaniczny powóz" kosztował fortunę.

— Wiele osób sądzi, że automobile to przyszłość — powiedziałam. — Czyżbyś nie podzielał ich zdania?

Artur wzruszył ramionami.

— Nie wiem, dlaczego ponad żywe istoty człowiek miałby przedkładać maszynę.

— Maszyny są niezawodne — rzekłam z namysłem. — Robią to, czego żąda od nich człowiek.

Artur zmarszczył ciemne brwi i lekko machnął lejcami.

— Ale w odróżnieniu od maszyn konie mają instynkt przetrwania.

Kiedy zajechaliśmy przed dom ciotki Hortense, mężczyzna wyciągnął ku mnie ramiona i pomógł mi zsiąść z kozła. W podzięce lekko ścisnęłam go za rękę. Miałam wrażenie, że przytrzymał moją dłoń odrobinę dłużej, niż było trzeba, ale mogło mi się tylko zdawać.

Postanowiłam szybko przemknąć do mojego pokoju, żeby zmienić suknię i osuszyć wilgotne włosy. Nie chciałam, żeby ciotka Hortense zobaczyła mnie w ubłoconej spódnicy, z bladą twarzą i ustami sinymi od zimna… Nie miałam też ochoty tłumaczyć się starszej pani z mojej nieostrożności. I tak już zbyt wiele stresów przeżyła przeze mnie przed laty. Przed przyjazdem do Torquay obiecałam sobie, że tym razem nie dam Hortense powodów do zmartwień.

Dopisało mi szczęście — w salonie nie było nikogo. Cicho wbiegłam na górę po dębowych schodach. Położyłam dłoń na chłodnej, mosiężnej klamce od drzwi mego pokoju i rzuciłam czujne spojrzenie ku sypialni ciotki. Wówczas wzdłuż kręgosłupa przemknął mi lekki dreszcz.

W głębokim cieniu ujrzałam czyjąś twarz. Była wpatrzona we mnie — obserwowała mnie zza załomu ściany. To była chyba dziewczyna — w pierwszej chwili nie potrafiłam tego stwierdzić, tak bardzo wstrząsnął mną wyraz jej oczu. Mierzyły mnie spojrzeniem pełnym nienawiści. Nie pamiętałam, by ktoś patrzył mi prosto w oczy w ten sposób: z taką złością, gniewem… i chyba odrazą. Z wrażenia lekko rozchyliłam usta. Moja ręka osunęła się z klamki i opadła wzdłuż ciała. Chciałam coś powiedzieć — przez myśl przemknęło mi pytanie: czy to możliwe, że to tylko nowa pokojówka? Rosalind wspominała mi o Annie, która wczorajszego dnia wzięła wychodne.

Zrobiłam krok w kierunku przyczajonej w cieniu postaci, ale wtedy ona zerwała się z miejsca i prędko jak podmuch wiatru czmychnęła przez półmrok za ciężkie, pogrążone w ciemności drzwi ozdobione złoceniami. Nienaoliwione zawiasy jęknęły przeciągle, po czym rozległ się stłumiony trzask. W powietrzu na moment mignął tylko jej warkocz — był właściwie wszystkim, co zapamiętałam. Musiał być

rudy, ale wydał mi się czerwony niczym błyskająca w bladym świetle smużka krwi…

Przebrałam się i odświeżyłam. Zamierzałam od razu zejść do salonu, jednak incydent z tajemniczą dziewczyną ani na chwilę nie dawał mi spokoju. Jej wycelowane we mnie z ciemności spojrzenie przypomniało mi starą bajkę o bazyliszku. Gdyby wzrok mógł zabijać, z pewnością byłabym już martwa. Pytanie brzmiało: czemu patrzyła na mnie w ten sposób? Na wspomnienie wyrazu jej oczu ramiona wciąż pokrywały mi się gęsią skórką.

Wyszłam za drzwi sypialni na korytarz. Stałam tam nieruchomo przez dłuższą chwilę, pełna wahania.

Powinnaś spróbować sama to wyjaśnić, Madeline — podpowiadał cichy głosik w mojej głowie. — *Wyjechałaś z Londynu, żeby znaleźć spokój. Nie możesz ciągle uciekać przed ludzkimi spojrzeniami. Nie możesz udawać, że nic się nie stało.*

Westchnęłam i cicho postukując obcasikami, podeszłam do wysokich, ciężkich drzwi, za którymi zniknęła dziewczyna. Prowadziły do wschodniego skrzydła domu, którego ciotka Hortense nie użytkowała od lat, a dokładniej: od śmierci wuja Rogera. Czy to możliwe, że rudowłosa była tam nadal?

— Jest tu kto? — spytałam, kiedy znalazłam się za drzwiami. — Nie bój się… — Przełknęłam ślinę, bo poczułam nagle suchość w gardle. — Jeśli tu jesteś… Chciałam powiedzieć, że nie zamierzam się gniewać.

Odpowiedziała mi cisza, a właściwie coś, co przypominało najcichszy pogłos echa — jakiś ulotny, przenikający powietrze rezonans moich słów. Doznałam dziwnego uczucia na myśl, że ta część domu stoi zamknięta od lat. Chociaż posiadłość należała do drogiej mi osoby z mojej najbliższej rodziny, to przez moment poczułam się jak nieproszony gość. Jak intruz.

A przecież te nieużywane pokoje budziły we mnie tyle pięknych wspomnień z dzieciństwa. Ciotka Hortense i wuj Roger byli tu tacy szczęśliwi — życie w ich domu wydawało mi się niekończącym się świętem. Bale i rauty, konne przejażdżki, podróże, rejsy statkiem i czytanie na głos przy kominku… I ja z nimi, jako mała dziewczynka spędzająca tutaj każde lato. Wtedy czułam, że jestem dla nich najważniejsza. Wuj i ciotka zawsze mieli dla mnie czas — mimo że prowadzili tak intensywny tryb życia…

Tryb, który ciocia Hortense na zawsze porzuciła po śmierci wuja Rogera.

Zaczęłam powolutku iść wzdłuż amfilady wysokich, milczących pokoi. Ciężkie pluszowe zasłony w większości okien były pozaciągane. W mdłych smugach wpadającego tu i tam światła tańczyły i skrzyły się drobiny kurzu. Masywne meble, kanapy i sofy poprzykrywano białymi prześcieradłami. Jasne płachty, które spływały z nich do ziemi, przypominały zastygłe w bezruchu zjawy. Stare portrety w grubych złoconych ramach obserwowały mnie z powierzchni chłodnych ścian. Tu i tam wisiały również gobeliny i pięknie tkane werdiury ze scenami łowów lub obrazami inspirowanymi mitologią…

Nagle usłyszałam prędkie kroki. Odwróciłam się w chwili, kiedy za moimi plecami trzasnęły drzwi. Przestraszona, z pośpiechem dopadłam klamki. Odetchnęłam z ulgą, gdy okazało się, że drzwi nie zostały zamknięte. Wyszłam znów na korytarz i mnąc w palcach rąbek sukni, postanowiłam po prostu udać się do salonu.

Chłód, który wraz z mgłą napłynął znad oceanu, sprawił, że mimo lata Rosalind rozpaliła w kominku. Z przyjemnością usadowiłam się w wygodnym fotelu z filiżanką gorącej herbaty. Niewielki ogień trzaskał wesoło na suchych drwach

w palenisku, rzucając na ściany ulotne złote błyski. Dopiero teraz na wskroś odczułam, że bieganie po wrzosowisku oraz zwiedzanie opuszczonych pokoi kompletnie mnie wycieńczyło. Wtuliłam się w miękkie oparcie fotela i nie wiedzieć kiedy — zapadłam w drzemkę.

Zbudziły mnie odgłosy krzątaniny. Ciotka Hortense wraz z panią Florą przy pomocy Artura i służącej przygotowywały salon na seans z duchami. Pośrodku pokoju stanął okrągły stół z mahoniowego drewna, a na nim świece, wycięte z papieru litery oraz małe porcelanowe talerzyki. W oknach zawisły grube zasłony, przez co wewnątrz zapanował półmrok. Pani Flora wyjaśniła mi, że to dlatego, iż zjawy są półprzezroczyste i w mocnym świetle nie sposób ich dostrzec.

— Tak głęboko panienka spała, że nie zbudziłam panienki na obiad — rzekła do mnie Rosalind. — Jedzenie czeka w kuchni. Zupa jest jeszcze gorąca, a mięso trzymałam w piecu. Zje panienka teraz?

— Z przyjemnością.

— Pana Clarka nie ma? — spytałam Rosalind w kuchni. Nie widziałam potrzeby, żeby tylko dla mnie nakrywać do stołu w jadalni. Jako dziecko często asystowałam Rosalind przy pieczeniu ciast i lubiłam jej małe królestwo.

— Ma zjawić się wieczorem. Niedawno przywiózł automobilem panią Florę i odjechał. Miał chyba coś do załatwienia.

Ze smakiem pałaszowałam pyszny obiad. Wraz z kolejnymi kęsami moje ciało odzyskiwało siły, a ja poczułam wreszcie dreszczyk ekscytacji na myśl o nadchodzącym wieczorze. Mimo że w Londynie słyszałam o fenomenie wirujących stolików, nigdy nie uczestniczyłam w takim spotkaniu. Przypuszczałam, że mój ojciec nie byłby tym zachwycony.

Siedziałam z francuską powieścią przy kominku, a ciotka Hortense narzekała na pogodę.

— Przez tę mgłę pewnie nikt z gości się nie zjawi — załamywała ręce, wpatrując się w okno, jak gdyby można było przez nie dostrzec cokolwiek poza wszechogarniającą bladą szarością.

— Nie możemy nikogo za to winić — rzekłam cicho. Odłożyłam na brzeg stolika osiemnastowieczne wydanie *Księżnej de Clèves* Madame de La Fayette. Nie wiedzieć czemu po raz kolejny sięgnęłam po tę opowieść o odwzajemnionej, lecz mimo to nieszczęśliwej miłości…

Wstałam i krzepiąco położyłam dłoń na ramieniu ciotki.

— Naturalnie, że nie — przyznała mi rację pani Flora. — Ta pogoda absolutnie nie sprzyja nawet krótkim podróżom. Ale sprzyja pojawieniu się duchów. Zjawy z przeszłości chowają się we mgle…

— Macie rację — uśmiechnęła się Hortense. — Może to lepiej, że zobaczymy się w niewielkim gronie? Dla mnie to będzie prawie jak spotkanie rodzinne — oznajmiła pogodniejszym tonem. Spojrzałam na nią z uwagą, gdyż cichy głosik w mojej głowie spytał ostrzegawczo, czy aby nie jest to aluzja na temat życzeń ciotki co do mnie i do Clarka? Wszak nie byliśmy nawet daleką rodziną…

— Spotkanie rodzinne? — spytałam lekkim tonem, próbując dać do zrozumienia, że choć Clark jest miły, to widziałam go tylko raz i nie chcę być swatana z nim na siłę.

— Ależ tak — potwierdziła Hortense. Wzruszenie błysnęło w jej zielonych oczach, kiedy wyciągnęła ku mnie szczupłe dłonie i ścisnęła mnie za rękę. — Cieszę się, że przy tym będziesz, Madeline. Zamierzamy przywołać ducha twojego wuja Rogera!